

Ta myśl towarzyszy mi podczas całej wyprawy: człowiek jest w stanie znieść i zrobić niewyobrażalne rzeczy, kiedy ma cel. W ciężkich czasach było nim przeżycie. Dziś wyznaczamy sobie cele, dzięki którym zapewniamy sobie poczucie sensu życia i naszych działań.

Na wyprawie doświadczamy skrajnych emocji. Żyjemy w niewygodzie, brakuje nam ciepła, żywności i poczucia bezpieczeństwa. Wyczerpani fizycznie, a mimo to szczęśliwi. Codziennie wstajemy i idziemy do celu. Nieraz przekonałam się, jak ważne jest, żeby mieć cel, gdy grunt w postaci sensu usuwa się spod nóg. Mama zawsze mi powtarzała: „Chcieć to móc”. I miała rację.

Teraz cel jest najważniejszym i najjaśniejszym punktem na naszej mapie – przejście Karpat zimą, meta – 19 marca 2018 roku, Orszowa, Rumunia.

Dlatego – mimo krańcowego zmęczenia – dalej powłóczę nogami. I myślę, kiedy to podejście się skończy. Wychodzimy na polanę, przykrytą białym puchem. Dobra, odechciało mi się nawet myśleć. Proponuję Sławkowi, żeby iść na przełaj, na grzbiecie. Po drodze jest las, gdzie leży mniej śniegu. Podchodzimy przez las, pod górkę i wychodzimy znowu na polanę. Sławek wie, że jestem zmordowana torowaniem w śniegu, a więc i wkurzona. Proponuje, że teraz on będzie torował. Zakładamy przedłużki do rakiet. Idziemy. Nie! Człapiemy w śniegu na przełaj przez polanę. Każdy krok to wprawianie w ruch dziesiątków mięśni, ścięgien nóg, brzucha, pleców. Zapieram się rękami na kijkach trekkingowych, wykonuję miarowe ruchy, kontroluję oddech, brnę przez śnieg. Doceniam teraz każdą minutę spędzoną na treningu, bo wiem, że dzięki temu jestem w stanie podolać wysiłkowi. Ale i tak jest bardzo ciężko.





↑ Białe Karpaty dały się poznać po ilości śniegu, który musieliśmy pokonywać

→ Zjawiskowy zachód słońca nad zamkiem Vršatec

Dochodzimy do podstawy grzbietu. Odpinamy przedłużki, podnosimy zapiętki i ruszamy po stromym stoku. Śniegu jest mniej, ale pod nim znajdują się mokre liście, ślizgamy się. Powoli wdrapujemy się na główny grzbiet szczytu Biely vrch (819 m n.p.m.), tam wchodzimy na zielony szlak. Przez polanę schodzimy do granicy lasu. Wychodzimy na kolejną polanę, gdzie pojawia się cywilizacja. Widzimy kilku turystów, którzy wybrali się na spacer. Dochodzimy pod zamek Vršatec.

Napawamy się feerią barw, którą roztacza zachodzące słońce. Głód i mróz nie pozwalają nam podziwiać przedstawienia zbyt długo. Idziemy do wsi Vršatské Podhradie, gdzie szukamy sklepu. Słowacja cały czas nas zaskakuje, w tej turystycznej wiosce nie ma bowiem



sklepu. Mimo wyciągu narciarskiego, ruin zamku, szlaków górskich i turystów w okolicy. Pod zamkiem znajdują się dwa hotele z restauracjami, ale znamy słowackie ceny – nie, dziękujemy! I idziemy dalej. Im szybciej, tym szybciej zjemy. Teraz już z górki do Červeného Kamenia.

Gdy dochodzimy na miejsce, zaczyna zapadać zmierzch. Napotkany Słowak, organista, pokazuje nam otwarty jeszcze



RAKIETY, PRZEDŁUŻKI

Rakiety stanowią nieodłączny element wyposażenia zimowego wędrowca. Rozkładają ciężar ciała na większą powierzchnię nośną, dzięki czemu nie zapadamy się tak głęboko w śniegu. Budowa raket dostosowana jest do różnego rodzaju terenu. Nasze rakiety były zaopatrzone w ostre krawędzie i zęby pod śródstopiem, dzięki czemu dobrze przyczepiały się na stromych, oblodzonych stokach.

Dla wygody użytkowania rakiety mogą mieć zapiętki. To drut, który podnosimy, by móc oprzeć na nim piętę,

gdy idziemy pod górę. Wtedy stopy znajdują się w pozycji prostopadłej do stoku i dzięki temu łydki mniej się męczą.

Dodatkowym elementem naszych raket są przedłużki. To część doczepiana do końca rakiety, która zwiększa jej powierzchnię nośną, przewidzianą na bardzo duży opad śniegu lub dla ciężkich osób. Zwiększając nośność, jednocześnie obciążają nogi i znacznie wolniej się w nich porusza. Używaliliśmy ich na wyprawie głównie w Rumunii przy śnieżnym puchu.



sklep. Po drodze opowiada o swoich wycieczkach i pielgrzymkach. Nareszcie sklep! Jesteśmy tak głodni, że rzucilibyśmy się na wszystko, ale zdrowy rozsądek podpowiada, że w słowackiej rzeczywistości nie będzie to takie proste. Dlaczego? Okazuje się, że mamy tylko jedno euro. Można płacić kartą. Można, ale tylko przy dobrych wiatrach, a te dziś nam nie sprzyjają, bo terminal odmawia współpracy. Wizja suto zastawionego przedsionka namiotu rozwiewa się jak mgła. Musimy obejść się smakiem i za ostatnie euro kupujemy ciastka. Panie dorzucają nam chleb, żebyśmy nie szli spać głodni.

Nie chcemy spać we wsiach i w miasteczkach, na ziemi tzw. niczyjej. Nigdy nie wiadomo, czy nie ma nadwornego rzezimieszka. A orzezani byśmy zostać nie chcieli. Tym razem nie idziemy za głosem rozsądku. Senne miasteczko wydaje się dość porządne. Rozkładamy namiot w podcieniach budynku jakiegoś urzędu, który pełni funkcję magazynu. Jest tu i lodówka, i telewizor, i inne rupiecie. Pałaszujemy, co mamy, i zasypiamy wykończeni. Nie na długo. Dwa dni przed sylwestrem dzieciaki próbują wszystkie możliwe rodzaje petard, a za poligon mają plac, który znajduje się za „naszym” budynkiem. Tak udaje nam się nie przespać nocy.

Mroźny poranek. Jak wyjść z oszronionego namiotu? Szybko. Gdy się budzimy, nie ma wylegiwania. Po wschodzie słońca szron zaczyna się roztopiać, więc kapie nam na wszystko, a najczęściej prosto na twarz. Rześka pobudka skutecznie inspiruje do działania.

Wciskamy stopy w zamrożone buty. Zapomnieliśmy wyjąć wieczorem filcowe botki. Nie spodziewaliśmy się,

że będzie aż taki mróz. Minus siedem stopni po nieprzebranej nocy mrozi nas do szpiku kości.

Idziemy do sklepu, w którym można płacić kartą nie tylko przy dobrej pogodzie. Stamtąd ruszamy dalej polnymi drogami. Słońce prześwieca przez chmury. Takie promienie od zawsze kojarzyły mi się z obecnością Boga. Obserwacja natury powoduje, że człowiek dostrzega piękno. Kiedy raz się zachwycisz, możesz wracać do tego w nieskończoność.

Właśnie ten zachwyt jest momentem, w którym czas przestaje istnieć. Jest tylko tu i teraz. Czuję jedność ze światem. Świat jest piękny. Życie jest piękne.

Po przejściu kilku kilometrów docieramy do sennej wioski o wdzięcznej nazwie – Horná Breznica. Czeski i słowacki język brzmią dla nas zabawnie, tak samo dzieje się w drugą stronę. Czasem trzeba uważać, co się mówi, bo niewinne słówka mogą być dwuznacznie rozumiane przez naszych sąsiadów. Szukamy sklepu, jednak „szukania” nie używamy w rozmowach przy Słowakach, bo to niecenzuralne słowo za południową granicą. Dostaliśmy wskazówki od napotkanego mężczyzny, ale zaszliśmy za daleko. Nic dziwnego, sklep jest sklepem tylko z nazwy. W rzeczywistości to bar, w którym sprzedaje się chipsy i chusteczki, mieszczący się w budynku urzędu. Smród speluny uderza od progu, a miejscowi smakosze taniego wina kiwają się na stołkach przy pełnych popielniczkach i pustych kuflach. Mężczyzna, który zawrócił nas z drogi donikąd, by pokazać ten przybytek, najwyraźniej liczy na postawienie kolejki. Niestety, nie mamy gotówki nawet na jedno piwo. O płacenie kartą

